№ 30. Warszawa, dnia 25 (13) Lipca 1896 roku. Rok XXXVIII.



Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kopiejek 10.
Na prowincyi
Kwartalnie . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie zlr. 2. Na prowincyi zlr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Za jeden wiersz petitem kop. 12.

Antoni Miecznik.

OWANES OHANA.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

Już było po herbacie, kiedy lokaj dał znać swemu panu, że jakiś interesant zjawił się w kancelaryi i czekał.

— A któż to znowu taki? Na chwilę spokoju mi nie dają.

— To ten Korngold z Otak, powiada, że umyślnie przyjechał z ważną sprawą do jaśnie pana.

Na te słowa gospodarz podniósł się z siedzenia, a zwracając się do gościa, rzekł:

— Przepraszam, że na chwilkę muszę pana opuścić, interesant na mnie czeka; za kwadrans wrócę.

— Ale proszę, niech pan się nie krępuje, proszę bardzo! A któraż to godzina? — Dodał spoglądając na złoty, duży zegarek. — Patrzcież państwo, już po szóstej. To i na mnie czas, mam kawałek drogi.

— Co się panu tak spieszy, niech pan jeszcze posiedzi — zawołała pani Helena, — niech pan zostanie na kolacyi. Przecież czasu panu nie brak, żona i dzieci nie czekają.

— Niech pan zostanie, proszę, porozmawiamy jeszcze, skoro się załatwię z żydem — zapraszał ze swej strony Szymonowicz, zabierając się do wyjścia.

Ohana zawahał się, pragnął jechać, a nie rad był pozostać, ta atmosfera, w której ją ujrzał, podziałała na niego w sposób tak pociągający. Nie spodziewał się takiej słabości po sobie, ale uległ jej, i został.

Guwernantka udała się z Zosią do dywanowego pokoju, dokąd zwykle po herbacie chodziły na robótki. Haftowały tam, szyły, wyszywały. Wesoło też było przy ich robocie, raz poraz ucieszne i radosne okrzyki dochodziły do salonu, w którym znowuż znaleźli się młody człowiek z panią domu.

Ona usiadła na nizkiej kanapce pod lustrem, a on tuż obok w fotelu, przy małym stoliczku. Oczy ich się znowu spotkały w tem wejrzeniu dawnem, odruchowem, którego ukryć nie mogli.

— Będzie się tutaj pan nudził — pierwsza zagadnęła gościa pani Helena, — żadnego nie mamy towarzystwa. Ten Sabescu był to sobie wielki pan, który w Nikoresztach prawie że nie mieszkał nigdy. Lato i zimę spędzał po za domem. Był bogaty, więc mógł.

— Dlatego też cała fortuna pękła. Wie pani, po spłaceniu długów bankowych i wekslowych zostało mu zaledwie kilkadziesiąt tysięcy. Co to znaczy na takiego pana, co w Odessie lub Bukareszcie wydawał rocznie dwa razy tyle. Jacy oni dziwni ci Rumuni, myślą, że bez pracy wiecznie bawić się można w magnata. Nie, tak się nie robi, trzeba zawsze pamiętać o jutrze, a plany swe mierzyć nie łokciem fantazyi, lecz arszynem rzeczywistości.

— Gdyby to wszyscy mogli posiąść pańskie poglądy i pański rozum?!

Zatrzymała się a śniade jej oblicze zaróżowiało od lekkiego rumieńca. On zaś podniósłszy się trochę z siedzenia, śmiało spojrzał jej w oczy, jakby je wysondować pragnął.

— Ja, pani, co pomyślę, do czego się zawezmę, dokonać muszę; ja wszystko z siebie zrobię, a muszę swego dopiąć. Byłem biedny, pani wie, byłem bardzo biedny, a nie ugiąłem się. Marzenia moje prysły, rozbiły się o skałę nagiej rzeczywistości, a ja jednak ocalałem... Biedny, biedny... ale powiedziałem sobie: ja muszę być bogatym, ja muszę być bardzo bogatym... i muszę... Głos mu się w tem miejscu zahaczył, chciał mówić dalej, lecz dał pokój. Twarz mu spłonęła jakimś dziwnym, nagłym rumieńcem, podobnym do odblasku wewnętrznego ognia, co w nim tlił, palił się. W oczach skrzył mu się zapał.

— Postawiłem na swojem — ciągnął dalej, — jestem bogatym, jestem bardzo bogatym.

W niej podziwienie i niepokój wzrastały; lekkie dreszczyki ją przechodziły, słuchając tego człowieka, z którym ją cała przeszłość wiązała. I zrobiło jej się rozkosznie Dlaczego, sama nie wiedziała; coś ją wołało napowrót do dawnego życia.

Słońce już zgasło. Mrok zapadał powoli, strzepując ze ścian smugi bladego światła. Księżyca promień błysnął i przedarł się do salonu.

Z sąsiedniego pokoju dochodziła wesoła rozmowa Zosi z guwernantką, rozmawiano tam i śmiano się.

Ohana wstał, i zbliżywszy się do młodej kobiety milczącej, rzekł:

— Widzi pani tę gwiazdę, co przegląda do nas przez szyby okien? Widzi ją pani, ona świeci nad panią, to pani szczęśliwa gwiazda.

Helena spojrzała na okno, rzeczywiście, wieczorna gwiazda migotała, błyszczała niepewnie.

— To nie nademną — powiedziała, — moje szczęście skończone; moje szczęście tam — dodała, — wskazując na pokój dywanowy. Tam jest jedyne moje szczęście! To nad panem świeci, to pańska gwiazdka, panie Owanes.

On zaś, jakby nie słyszał tego, mówił dalej:

— Kiedym był w Armenii, naszej starożytnej ojczyźnie, bo przecież to nasza ojczyzna, nie prawda? opowiadano mi, iż wieczorna gwiazdka nigdy jednemu nie przyświeca, a zawsze dwojgu. To nieokreślone migotanie gwiazdy, ten zda się, szelest świetlany, spływający od niej, jest symbolem rozkoszy stałej, a jednak nieujętej.

Odetchnęła mocniej. Po co on, ten człowiek mówi o tej gwiazdce — myślała, — czy on zawsze tym dawnym marzycielem Owanesem zosta

nie? Nie, on nie jest tylko marzycielem, przecież dopiął swego—wrócił bogatym. Po co on to mówi? Czy on zawsze myśli o niej tak, jak przed laty dziesięciu, oszalały z pychy i kochania?... I pociągał ją ku sobie, ten Owanes i czarował, bezmiernie czarował. Jakieś nieokreślone, rozjaśnione dawnemi wyobrażeniami uczucie zaczęło się rodzić w jej sercu, uspokojonem od lat wielu. Była podrażniona, podniecona wyraźnie. Patrzała na gwiazdkę i słuchała, zdawała się pojmować go raczej niźli rozumieć, nie tyle ją zajmowało to, co mówił, ile sam ton, sam głos, jakim mówił.

Więc on ten sam! — powtarzała sobie.—Pragnęła prowadzić dalej tę rozmowę nieokreśloną, zamgloną jakąś, a jednak coś ją powstrzymywało, coś, co szeptało jej: to już dawno skończone, na co odgrzebywać. Zrobiła wysiłek myślowy nad sobą, zmieniając przedmiot rozmowy.

— Więc pan tu osiądzie! Zawiąże pan znajomości nowe, poodnawia pan stare i stanie się pan powoli tak jak inni, stepowym obywatelem z tą różnicą, że inni mieszkają przeważnie na odojach, a pan we wspaniałej rezydencyi.

— Pani wie — odparł już pośpiesznie, — że tak jak inni istnieć nie potrafię. Jakie zaś tu życie zacznę pędzić, nie wiem dotychczas, lecz w każdym razie nie takie, jak inni. Znajomości, zapewne poodnawiam, czemu nie. Chociaż nikt jeszcze nie dowiedział się, żem tutaj przyjechał i kupił Nikoreszty. Kto wie, może zapomnieli o mnie, toć czas tak prędko ściera wszystkie kontury wyraźniejsze, wszystkie wygładza życia szczerby.

— Więc pan do nas najpierw wstąpił?

— Najpierw, przecież to najbliższe sąsiedztwo, z obowiązku zatem i... i z powodu dawnej znajomości.

Mówiąc to, spojrzał na nią ulotnie, ona wzrok spuściła, jakby się domyślała czegoś takiego, co nawet przed samą sobą ukryć pragnęła.

— A dokąd że pan uda się z następną wizytą?

— Na razie nigdzie. Muszę się wpierw urządzić. Pani wie, ile to czasu zajmuje, a taka tam w tych Nikoresztach pustka. Napozór wszystko dobre, a naprawy gwałtem potrzebuje. Dopiero po urządzeniu się jakiem takiem pojadę do Antoniewiczów, do Domaszkanów, do Russów.

— A do ojca, do brata mego?

— Wybiorę się i tam... Naturalnie, trzeba, trzeba.

— Niech pan tam jedzie, zawsze wypada.

— Pojadę, pojadę, przecież już teraz mogę pojechać.

I urwał.

Niebawem powrócił sam gospodarz, przyszła guwernantka z Zosią i rozmowa stała się ogólną, zajmującą. Szymonowicz opowiadał gościowi o swych interesach gospodarskich, o ciężkiem położeniu bessarabskich rolników, o drogim najmie.

Ani się też spostrzeżono, kiedy gość, wstawszy od stołu, żegnać się począł z gospodarzami.

— Niech pan będzie łaskaw do nas częściej zajeżdżać — zapraszała gospodyni, — prosimy bardzo nie zapominać, będziemy radzi, przecież to blizko, milka mała.

— Tak, niech pan nie omija naszego domu— powtarzał gospodarz.

— Dziękuję państwu za uprzejmość, nie omieszkam z niej skorzystać, ile czas pozwoli, zwłaszcza, że chcę pana prosić o pewne instrukcye gospodarskie, których mi pan nie odmówi. Nawet jeżeli pan łaskaw, to życzyłbym sobie bardzo, żeby pan wpadł na godzinkę chociaż do Nikoreszt. Zapomniałem wiele z gospodarstwa, a pragnąłbym być *au courant* wszystkiego, by nie błądzić po manowcach.

— I owszem! owszem, z miłą chęcią.

Ohana ze wszystkimi pożegnał się serdecznie, gospodarzowi uścisnął kilkakrotnie rękę, gospodyni się ukłonił ceremonialnie, a dla Zosi i m-lle Alice znalazł kilka słów przyjaznych na odjezdnem.

— Jakie to jednak dziwne zrządzenie losu. Ktoby się spodziewał, że z tego dwudziestoletniego chłopaka biednego, marnego, wyrośnie taki okazały mężczyzna i do tego taki bogaty? — Odezwał się Szymonowicz do żony, kiedy pozostali sami.

— Dziwne, to dziwne, ale on też zawsze się różnił od wszystkich tych młodych Ormian, których znałam. Owanes zawsze miał głowę i spryt.

Mąż zdawał się nie zwracać uwagi na to, co żona mówiła, palił wolno wedle zwyczaju papierosa, przyglądając się ulatującym do góry kłębom dymu.

— Kupił Nikoreszty — ciągnął dalej. — Czy ty wiesz, Helciu, co to są Nikoreszty? To jest, moja duszyczko, ogromny majątek, to krociowa fortuna, Sabescu był magnatem na Nikoresztach. Nie wiem, jak on sobie da tam radę; ostatniemi czasy gospodarstwo zostało opuszczone, inwentarz wymarnowany. Pałac rudera, ogród, ten cudowny Nikoreski ogród ze stawami i olbrzymiemi alejami zarósł na dziko. Jemu się tam trudno będzie uporać.

— Nie bój się, już on po radę do nikogo się nie uda, pewnie was słuchać nie będzie; on do góry nogami wszystko przewróci, a dokona swego.

Szymonowicz spojrzał na żonę badawczo, uderzyła go cokolwiek ta entuzyastyczna mowa na korzyść Ohany. Spojrzał, i jakiś uśmiech nieznaczny mu zaświtał na pomarszczonej, ogorzałej twarzy.

— Zobaczymy, zobaczymy! Nie tacy tu kroci się dorabiali w naszej Bessarabii, i nie tacy je tracili. Z ziemią trudniejsza sprawa, aniżeli z Turkami i Grekami.

— Mój kochany, cóż cię tak zaraz na wstępie los jego obchodzi, takie prognostyki przedwczesne są co najmniej nie na miejscu.

— E, co tam, tak się mówi! Zresztą, co on mnie obchodzi — i wzruszył ramionami, — tylko widzisz, tak się mówi, zawsze to dawny znajomy, co, prawda, dawny znajomy?

Zaśmiał się zcicha, niby to swobodnie, wesoło, ale w tej wesołości i swobodzie znać było przymus tłumiony. A ona zlekka spłonąwszy, przybladła naraz.

— Pamiętam go, tego Owanesa, jak u twojego ojca w kancelaryi siadywał, i rachunki robił, pamiętam te ciągłe jego włóczenie się z książkami ormiańskiemi. I to pamiętam — ciągnął dalej, — jak mu się w głowie przewróciło, jemu, biednemu Ohanie, jak latał za tobą, bo on się podobno w tobie szczerze kochał.

— Ach, daj pokój tym wspomnieniom! To wszystko było, minęło, pozostały słowa puste.

W mowie jej brzmiała dziwna nuta, jakaś nie swoja, bo i ona starała się udać tę samą co i on obojętność, tę samą swobodę. Lecz w duszy czuła już nowe, a zarazem dawne życie. Bezwiednie chciała się z tem wrażeniem wspomnienia, z temi uczuciami nieokreślonemi ukryć przed mężem.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

(Dalszy ciąg nastąpi.)



Warszawa, w Lipcu 1896 r.

Czy tak jest istotnie jak się wydaje, trudno wiedzieć, to jednak pewno, że Warszawa w roku bieżącym robi wrażenie miasta bardziej wyludnionego niż w innych latach. Gdyby tak było, jak przypuszczamy, należałoby się domyślać, że przybywa tutaj stale takich, którzy potrzebują się leczyć, wierzą w uzdrowienia i ulgi przy pomocy wód mineralnych, kąpieli, świeżego powietrza i oderwania się od powszedniego bytu— którzy mogąc rozporządzać swoimi letnimi miesiącami, znajdują odpowiednie kompensaty w zamian za duże i drobne kłopoty, które wędrówki tego rodzaju nieuchronnie za sobą pociągają. Znaczyłoby to w dalszym ciągu, że zmniejsza się w odpowiednim stosunku liczba przykutych do obowiązku, zniewolonych do pozostania na miejscu przez letnie miesiące z racyi zajęcia i innych względów — że ubywa jednem słowem takich, którzy nie mogą—którym nie wolno—którzy sobie willegiatury, wycieczek, i podróży dorocznych odmawiać potrzebują.

Jeżeli istotnie ubywa tych wszystkich przymusowych abnegatów, to wolno nam się cieszyć szczerze taką na korzyść zmianą stosunków, i życzyć, aby ten zwrot ku pomyślności wzrastał sobie w postępie geometrycznym chociażby.

Dosyć też martwo, przyznać należy, przedstawia się Warszawa w tegorocznym swoim martwym sezonie. Nie mówiąc już o innych objawach życia, które przy letniem wyludnieniu stale zamierają na czas jakiś, usnęły sobie i spory gorączkowe na szpaltach dziennikarskich, osłabły polemiki, obniżyła się werwa i nastrój, który w ostatnich czasach sporo miał charakteru wojowniczego nb. wojowniczego w rozumieniu gazeciarskiem. Po staremu słychać jeszcze o Puszczy Studzienieckiej, o jej zarządzie i zwierzchnictwie pedagogicznem męzkiem i żeńskiem, i po staremu sprawa nie rozstrzygnięta, jakkolwiek o jej rozstrzygnięciu przed opinią powszechności oświeconej, coś niecoś powiedziećby się dało już i dzisiaj.

Jest to w każdym razie takie położenie rzeczy, które wyradza się zawsze, ilekroć zarzutu poważnego nie odeprzemy stanowczo, ilekroć przeciw kategorycznym oskarżeniom nie wysuwamy nic oprócz gołosłownego zaprzeczenia. Coby to tam w dzisiejszych złych czasach za ciężkiego autorytetu potrzeba, żeby jednem słowem rzuconem z wysokości obrócić w nicość całą massę sformułowanych oskarżeń, i zkądby się u nas takie wysokości, takie autorytety i taka popularność imienia znaleźć miała. To też tak jak się dzisiaj mają te sprawy, powiedzieć tylko o nich

można, że bądźcobądź zarzut się utrzymał, ufność publiczna do kierownictwa znakomicie obniżona, i dopóki się coś nie stanie takiego, coby na kwestyą nowe jakieś a korzystniejsze rzuciło oświetlenie, dopóty się zaufanie ogółu zachwiane jak na teraz bardzo, przychylniej nie oświadczy dla objętych zarzutem bezpośrednim lub pośrednim.

Komisye konkursowe sądzą naszych wystawców hygienicznych. Wygląda to na znaczny dosyć zachód, i zanim się we wszystkich działach sprawa rozstrzygnie, czas jakiś upłynie jeszcze zapewne.

Tymczasem wystawa trwać sobie będzie w dalszym ciągu Publiczność będzie ją nawiedzać przypuszczalnie gorliwiej nieco po przyznaniu nagród i odznaczeń, bo ma już to do siebie wszelkie uznanie, że zaciekawia i pociąga, tam mianowicie, gdzie sobie sąd indywidualny zwiedzającego, sprawy dokładnej zdać nie może, o ile wystawiony przedmiot zasługuje na uwagę, a nadewszystko o ile jeden przewyższa drugi, zupełnie dla oczu profana podobny do tamtego.

Jest tam na tej wystawie dział jeden, nie mający niby z wystawą samą nic wspólnego, przeznaczony jedynie dla uprzyjemniania chwil zwiedzającym, ale dział ten, przyznać należy, bardzo jest ostro krytykowany zarówno przez opinią powszechną, jak przez krytykę fachową, która się o nim na łamach pism peryodycznych wcale nieprzychylnie wyraża. Czy ma ta opinia i ta krytyka słuszność, rozstrzygać nie śmiemy, ale jużciż ta słuszność musi być, bo owe sądy surowe szczególnie są nawet między sobą zgodne, co jak wiadomo nie zawsze się przytrafia.

Mówimy tutaj o tak zwanej orkiestrze warszawskiej. Publiczność, rozumie się inaczej, krytyka inaczej formułuje swoje zarzuty? Publiczność, która ma smak dosyć zapewne wyrobiony, a której w dodatku i sposobności do porównań, bardzo dla orkiestry miejscowej niekorzystnych, nie brakuje, wyraża swój sąd przez coś mocno zbliżonego do ruszenia ramion — krytyka motywuje, usprawiedliwia swoją ocenę, a ta ocena daleką jest bardzo od uznania, a choćby nawet od pobłażliwej przychylności. Czy nam brak wytrwania, czy szkoły, czy kierownictwa umiejętnego dobranym kompletem, czy ostatecznie jesteśmy jakimś zupełnie niemuzykalnym narodem, nikt nie powiada nam stanowczo i rozstrzygająco, ale to wiemy na pewno, że mamy orkiestrę miejscową marną bardzo, i że nam się nie zanosi, jak mówią, na to, aby z tego materyału coś doskonalszego wyrobić się dało. Jak się zdaje, przeciętny Warszawianin nie pozbawiony zdrowego sądu, musi sobie w tej kwestyi rozumować w taki mniej więcej sposób: „Już tam czy my jesteśmy bardzo muzykalni, czy nie bardzo—oto mniejsza. Dajmy na to, że nie bardzo, ale członkowie orkiestry z samych wybitnych talentów nie rekrutują się przecież, a my się jednak na takich średnich—przeciętnych zdobyć nie możemy w żaden sposób. Co do zorganizowania takiego zastępu średnich i przeciętnych, to przecież o tylu znakomitościach naszych muzycznych w zakresie teoryi, twórczości i wykonania słyszymy i czytujemy, że się raz jakiś duch organizacyjny znaleźć musi, który z kilkudziesięciu ludzi umiejących grać, jedną dobrą orkiestrę złożyć powinien. Zarzut braku wytrwania nie da się tu chyba zastosować, bo na innych polach pracy tak znowu bardzo smutnie pod tym względem nie wyglądamy; szkołę posiadamy, zważywszy że konserwatoryum warszawskie jest szkołą muzyki a nie astronomii ani metafizyki żadnej. No tak, to wszystko czego potrzeba do orkiestry—jest, ale orkiestry samej jak nie było, tak nie ma. Czy będzie ona w przyszłości i jakiej mianowicie, tego także dzisiaj nikt chyba powiedzieć nie zdoła. Czekajmy.

Skoro już raz zaczęliśmy o upodobaniach i potrzebach artystycznych, skoro nagadaliśmy się o orkiestrze, której nam brak, powiedzmyż słówko także i o teatrach i teatrzykach naszych, na których nie zbywa nam wcale. Tak jest, nie zbywa z pewnością, a nie tyle może nawet na teatrzykach samych, ile na wrzawie, jaka się dokoła tego przedsiębiorstwa podnosi w prasie, a która zaczyna być doprawdy nużącą nad wszelkie wypowiedzenie. Skończy się chyba na tem, że nas najpierw obcy, a następnie i my sami, skoro to zaprzątanie teatrzykiem nieustannie, brać będziemy siebie za jedną jakąś wędrującą trupę, która nie zna innych potrzeb, o niczem innem myśleć i mówić nie potrzebuje, prócz o tem jednem. Tak jest — o tem jednem ciągle, codziennie i wyłącznie, a wkoło.

Wchodzimy w to, że publiczność miejska nawykłszy raz do tej rozrywki, potrzebuje jej do pewnego stopnia, chociaż Bóg jeden tylko wie, o wiele ją ten teatr dzisiejszy kształci, podnosi i umoralnia; uwzględniamy i to także, że taki pan przedsiębiorca jakiś, włożywszy w to fundusz, a umiejąc przytem trafić do sfer piszących, reklamuje się na wszelkie sposoby przyzwoite i nieprzyzwoite, bo to już dzisiaj chlebem powszednim stała się dla nas ta reklama, którą niedawno jeszcze i ze słusznością wszelką pogardziliśmy tak, jak ona na to zasługuje. To wszystko rozumiemy, uwzględniamy i godzimy się z tem nawet, skoro już inaczej być nie może, ale niechajże nam pisma miarę jakąś w tem zachowają, bo ostatecznie przyjść może do tego, że publiczność czytająca spotykając na każdej szpalcie tylko teatrzyk, tylko tytuły komedyj, imiona ich postaci i nazwiska aktorów, że publiczność ta powie sobie nakoniec, iż tego wszystkiego razem wziąwszy jest po nad sens — potrzebę i przyzwoitość. Dodajmyż jeszcze tak zwaną krytykę teatralną fachową, pomyślmy z jakiem ta znowu namaszczeniem przedmiot swój traktuje, do jakiego znaczenia podnosi ważność teatru, i jakie mu miejsce w naszem życiu naznaczyć usiłuje; zsumujmy sobie to wszystko razem, a przyjść będziemy musieli do wniosku, że narzucają pewne sfery ogółowi zbyt natrętnie swoje własne interesa i że godziłoby się krytykom, recenzentom, sprawozdawcom i wzmiankarzom pomyśleć o tem cokolwiek. Nie mówiąc już o całych szerokich kołach czytelników prowincyonalnych, których szczegóły, szczególiki, drobiazgi i bagatelki teatralne nie obchodzą wcale, trzebaby raz przecie uwierzyć, że każdy kto nie jest aktorem czy aktorką, przedsiebiorcą ogródkowym, bufeciarzem, bileterem, albo tak zwanym polipem teatralnym, przejmować się temi sprawami i brać ich do serca na żaden sposób nie może. Teatr jest od tego, żeby uczył lub bawił stosownie do tego jak go kto pojmuje; o posłannictwie sztuki choćby naprzykład tak zwanej krajowej, deklamować ludziom dzisiaj, to czas stracony prawdziwie, bo się już nikt na frazesa podobne nie bierze, a co do nauki, to nie mamy się czem łudzić, i nie ma chwalić Boga między nami innocentów takich, którzyby wierzyli w ten rodzaj szkoły i w kwalifikacye pedagogiczne panów antreprenerów. Pozostaje tedy zabawa, rozrywka, miłe spędzenie wieczoru, jeśli kto woli. Otóż jeśli się przedsiebiorcy udało zabawić wieczorem, niechajże w zamian raczy pamiętać, żeby nie znudził sprawozdaniem rano, bo tak bywa zawsze, gdy się jedną i tę samą potrawę po kilkakroć na dobę podaje.

A. S.

Luźne kartki z Węgier.

(Ciąg dalszy)

III.

Turecka Buda na wystawie.

Po prawej stronie Dunaju wznosi się wysokie wzgórze, a na tem wzgórzu znajdują się resztki dawnej stolicy Węgier, warownej niegdyś Budy.

Resztki to ubogie, przedstawiające nie wiele interesu pod względem archeologicznym.

Rzecz szczególna, jak Budapeszt zachował mało pamiątek z przeszłości. Śródmieście robi wrażenie zupełnie nowego, prawie amerykańskiego miasta, zbudowanego wczoraj, przedwczoraj. A przecież to gród stary, który widział różne ludy i ma długą, bogatą historyę.

Kiedyś w pierwszych wiekach po Chrystusie stało niedaleko od Pesztu miasto rzymskie, znane chorym starego świata.

W *Aquineum* (*Aqua Quiacuum* = pięć wód, źródeł), leczyli się Rzymianie z czasów pierwszych imperatorów. W okolicy dzisiejszego Pesztu rozgrywały się krwawe zapasy między gasnącą a rodzącą się cywilizacyą dwóch epok, tędy szły ludy słowiańskie i germańskie, spadające powodzią na cesarstwo rzymskie, tu walczył Marek Aureliusz z Markomanami; ztąd pochodzili gorliwi imperatorowie chrześciańscy, jak Walentynian i Gracyan.

Mimo tak bogatej przeszłości nie zostało w Peszcie nic, coby tę przeszłość przypominało. Nawet czasy późniejsze nie zostawiły po sobie prawie żadnych śladów. Widocznie znosiły zawsze ciągłe wojny dzieła pokoju. Co pracowita ręka rzemieślnika i artysty wystawiła, to zburzyła złość nienawiści międzynarodowej.

Podróżnicy wieków średnich wspominają często i z wielkiemi pochwałami pierwotną Budę, zawdzięczającą swój początek królowi Beli IV, panującemu w XIII stuleciu. Była to nasamprzód warownia, a następnie, przez kilka wieków rezydencya monarchów węgierskich i stolica kraju. Na wzgórzu po prawej stronie Dunaju, miały się wznosić bogate pałace, kościoły, gmachy rządowe. Miała to być rzeczywiście stolica świetna państwa, zdobiona przez królów i panów. Z tych wszystkich wspaniałości nie zostało nic, albo prawie tyle, co nic, chociaż Turcy nie burzyli bynajmniej pamiątek przeszłości.

Trudno sobie wystawić, jak pierwotna Buda wyglądała, tradycya bowiem nie zachowała szczegółów dokładniejszych. Tylko Budę z czasów tureckich utrwaliły kroniki w głównych zarysach. Tę to Budę turecką odtworzono na wystawie w miniaturze.

W Budzie tureckiej zwraca przedewszystkiem na siebie uwagę świątynia muzułmańska, t. zw. moszea. Stoi ona na środku „Starej Budy," otoczona murem. Modli się w niej codziennie kilkudziesięciu prawdziwych muzułmanów pod przewodnictwem kapłana, muezina. W samo południe odzywa się ze szczytu wieży jękliwy głos imana, który wzywa na nabożeństwo. Turcy, wygrzewający się przed świątynią na słońcu, myją wówczas ręce i nogi w studni, nakładają na pantofle sandały i wchodzą kolejno, leniwie do moszei.

Świątynia turecka przypomina prostotą swoją pierwsze kościoły chrześciańskie. Nie ma w niej obrazów, posągów, chorągwi, wot, ławek nawet i ołtarzów.

Tam, gdzie się u nas znajduje wielki ołtarz, jest w moszei jakieś zagłębienie, rodzaj niszy, a przed tą niszą leży duży kobierzec.

Muzułmanie zdejmują sandały, niektórzy pantofle i pończochy, stają na kobiercu, chwytają się za głowę, z tyłu, za uszami, i padają na twarz. Podnoszą się ciągle! i padają znów, uderzając czołem o posadzkę. Z początku panuje w świątyni głuche milczenie. Wyznawcy Ałłacha modlą się w milczeniu, skupieni. Po jakimś czasie odzywa się kapłan, który siedzi naprzeciw niszy, głosem stłumionym, monotonnym, a reszta wtóruje mu tak samo.

Wrażenia nabożeństwa nie podnosi ani śpiew, ani muzyka. Od czasu tylko do czasu jęczy na chórku iman, jakby płakał z cicha.

I oto całe nabożeństwo muzułmańskie — proste, pierwotne, modlitwa ludzi, którym wystarcza jeszcze wiara żywa, obywająca się bez sztucznych podrażnień zewnętrznych.

Turcy, dający z siebie za pieniądze szczególnego rodzaju widowisko na wystawie budapeszteńskiej, nie pochodzą wszyscy z krwi semickiej. Jest między nimi wiele typowo słowiańskich głów i twarzy.

Tuż obok moszei znajduje się buda, w której fakirowie indyjscy śpią, raczej spali na komendę za wysokie wynagrodzenie. Że są Indami autentycznymi, dowodzą ich nadzwyczaj charakterystyczne fizyognomie. Oliwkowej cery, bruneci, z dużemi, czarnemi, wilgotnemi oczami, dorodni, wprost piękni, zawracali podobno główki płci słabej. Widać na nich bardzo starą kulturę. Wiele wieków rzeźbiło te inteligentne, uduchownione twarze, znnim uczyniło z ich profilów kamee. Nic dziwnego, że się fakirowie podobali Europejkom.

Na środku budy stoi szklana trumna, a w tej trumnie spał zawsze dla uciechy widzów jeden z fakirów, przykryty do połowy jedwabnym płaszczem. Jego towarzysze pełnili przy nim straż, i objaśniali ciekawych po angielsku.

Wpatrywałem się w śpiącego fakira z wielkiem wytężeniem i zdawało mi się, że mrugnął powiekami, i poprawił się nieznacznie na poduszkach. Ponieważ na zapytanie moje, czy to możliwe? odpowiedziano mi, iż to niemożliwe — więc wierzyłem, że uległem złudzeniu. Tymczasem okazało się, że mnie wzrok nie mylił. Jakiś ciekawy policyant budapeszteński, podpatrywał fakirów dopóty, aż się nie przekonał, że oszukują łatwowiernych za pieniądze. Zakradłszy się niepostrzeżony do budy w godzinach, w których publiczność nie miała dostępu do czarodzieja indyjskiego, ujrzał zabawne widowisko. Śpiący fakir siedział sobie w trumnie i grał z kolegami w karty.

I trudno się dziwić kuglarzowi pokazującemu się za pieniądze, że pomaga sobie, jak może. Nie każdemu chce się leżeć przez dwa tygodnie w szklanem pudle, zwłaszcza gdy się jest tak młodym i przystojnym jak fakirowie budapeszteńscy. Podobno zasypywały ich damy bilecikami wonnemi i propozycyami daleko ponętniejszemi od honoraryów przedsiębiorcy. Rozpatrzywszy się w położeniu, wolą fakirowie zarabiać obecnie na jawie, do czego nie braknie sposobności.

Mówiono w Budapeszcie, że jakaś bogata Madziarka ofiarowała jednemu z fakirów serce, rękę i majątek.

Do ciekawości „Starej Budy" należy, oprócz moszei i fakirów, t. zw. taniec brzucha, wykonywany w osobnym gmachu przez pięć bajader pod kierunkiem jakiegoś grajka wschodniego. Grajek bębni na małym, płaskim bębenku, pokrzykuje, jak swawolny ulicznik, a bajadery odziane w barwny strój wschodni, w przezroczyste gazy, obwieszone świecidełkami, wyprawiają dziwy ze swojem wygimnastykowanem ciałem. Taniec to bardzo stary, bo znano go już w starożytności, za czasów rzymskich. W Aleksandryi istniały osobne szkoły, w których kształcono ładne dziewczęta na baletniczki, przeznaczone dla bogatych panów. Każdy rzymski patrycyusz miał na swoim dworze za czasów dekadencyi, własny balet, składający się z uczennic szkół aleksandryjskich.

Trzeba być bardzo młodym, albo bardzo starym, by znajdować upodobanie w łamańcach ciała, pozbawionych wdzięku.

W tańcach wschodnich nie ma wogóle ani okrągłych, ani miękkich linii. Słynny na przykład czardasz węgierski, którym się Madziarowie tak zachwycają, nie znosi żadnego porównania z naszym mazurem. Pary stoją w miejscu, drepczą zrazu, przechylają się z boku na bok, wolno, jakby się kołysały, następnie ruszają się żywiej, naśladując drganie, w końcu wirują coraz szybciej. Czardasz przypomina najpierwotniejsze tańce ludowe, tak samo ordynaryjny, monotonny, jak one. Tańczony w karczmie, przez chłopów, robi lepsze wrażenie, bo jest na swojem miejscu. W sali balowej, w której tancerze łagodzą ruchy gwałtowniejsze, rozczarowuje każdego cudzoziemca. Jest to taniec barbarzyński, nieprzyzwoity, obliczony na draźnienie zmysłów, jak wszystkie tańce wschodnie. W jego figurach nie ma żadnego rysunku, w jego liniach żadnej harmonii.

Czardaszów napatrzy się i nasłucha cudzoziemiec w Węgrzech aż do przesytu. Wszędzie, w karczmach, w salach kąpielowych, tańczą i grają czardasze bezustannie.

Tańczą je i grają Madziarowie, Słowianie i Niemcy. Muzyka czardaszowa wnika czasami w istocie do serca. Jest w niej niezmiernie wiele szczerej tęsknoty, jakiegoś czegoś, co odrywa człowieka od ziemi, i przenosi go w krainy, niedostępne dla zmysłów. Jest dużo smutku i płaczu duszy ludzkiej i dużo tłumionego, cichego żalu. Ale czardasze są wszystkie do siebie podobne. Gdy się jeden słyszało, zna się już wszystkie. Tak przynajmniej zdaje się cudzoziemcowi. Może się obce ucho myli, może nie umie pochwycić i odróżnić licznych odcieni, któremi się Madziarowie zachwycają.

„Stara Buda" jest na wystawie budapeszteńskiej miejscem wieczornych zebrań. Tu śpiewają pod gołem niebem słynne śpiewaczki ludowe, tu gra najlepsza orkiestra węgierska, deklamują pierwszorzędni komicy, i bawi się do rana młodzież stolicy. Rojno tu i gwarno przez całą noc, chociaż z północy mają być wszystkie bramy wystawy pozamykane. Znaczy to, że policya nie wpuszcza już po tej godzinie nikogo do „Starej Budy," kto jednak przybył wcześniej, może się bawić do białego dnia.

T. J. Choiński.

„Nowe pieśni."

„Bądź pozdrowiona myśli! I tobie cześć uczucie!" — woła poeta w jednym z pierwszych fragmentów swojego zbioru.

„Myśli! uczucie! — kończy pozdrowienie swe— wyście dwojgiem skrzydeł, na których dusza człowieka — z pośrodka ziemskich płazów i straszydeł — w krainę blasku ucieka. — A rzucając poziome zwykłych żądz łożysko, — staje się Boga, ojca swego blizką."

To znamienne w pięknym ustępie powyższym oddanie pierwszeństwa myśli przed uczuciem ułatwia nam charakterystykę poety. Istotnie w organizacyi twórczej p. Wiktora Gomulickiego refleksya zdaje się stanowić pierwiastek najsilniejszy, zawsze niemal (z małymi wyjątkami) biorący przewagę nad uczuciem i wyobraźnią.

Myśli głębokich nie brak w wydanym w roku bieżącym zbiorze.

Przeczytajmy na przykład wiersz p. t. „Jeden i jednakowy." Oto co mówi w nim poeta o duchu ludzkim: „Bóg go osadza w ciało, jak do klatki, i więźniem czyni do czasu;— A on wciąż tęskni jak dziecko do matki — jaki dzikie ptaszę do lasu." Jest niezmiernie wiele prostoty i wdzięku w tych porównaniach.

W dalszym ciągu czytamy:

„Ciało to lutnia w ręku ducha-mistrza, ze siedmiotonową tęczą; ze strun jej wówczas płynie pieśń najczystsza, kiedy posłusznie mu dźwięczą. — Jeśli melodya niepewna i głucha—splątanem pasmem się przędzie, nie wińcie o to żywiącego ducha,—nie mistrz zły, jeno narzędzie."

Przypominacie sobie zapewne czytelnicy, że podobne pojęcie ducha znaleźliśmy niedawno u Maeterlincka, w mistycznej jego książce „Le trésor des humbles."

W wierszu p. t. „Wszechmoc człowieka" rzuca poeta rękawicę pessymizmowi.

„Człowieku, większą ci dano moc—niż ją twój rozum ogarnia! — Złudzeniem tylko: smutek i noc — niewola i męczarnia." Tą siłą daną człowiekowi jest wola. Radzi tylko poeta okiełznać namiętności, a wydoskonalić owo narzędzie potęgi. „W okowach nawet możesz być wolnym — gdy myślom wolność dasz, — i nawet płonąc na ogniu powolnym — pogodną zachowasz twarz." Piękna ta strofa żywszym jakimś dźwiękiem brzmi pośród głosów nastrojonych na ton bezgranicznej rozpaczy, które słyszymy dokoła.

Jednym z pierwszych i śmielszych protestów przeciw pozytywizmowi był, drukowany o ile sobie przypominam, w noworocznym numerze „Kuryera" „Fragment." „Kretem być łatwiej, niźli ptaków królem, — zwraca się poeta do pozytywistów — większy też spokój pozyskali ślep-

ce, — niźli widzący, ci nie zadrżą bólem — poznając zaród śmierci już w kolebce. — Mądrość ich cała (na wyższą ich nie stać) — kopać gdzie miękko, gdzie twardo zaprzestać. — Więc pewnie kwitnie szczęście niezmącone — wśród takich skromnych pracowników rzeszy? — Pewnie, lecz czemuż w którą spojrzeć stronę — nigdzie człowieka, co się życiem cieszy — nigdzie szczerego śmiechu, ni wesela, — a młode skronie zgrzybiałość pobiela."

„Więc jakże — z ironią zapytuje poeta,— czy nie dość pełzać po mieliznach życia — żeby bezpiecznym już być od rozbicia? — To może lepiej lotu się nie zrzekać — wybucha nagle, — używać skrzydeł, gdzie skrzydeł potrzeba, — przed zagadkami bytu nie uciekać, nie mrużyć oczu przed jasnością nieba, — i póki pieśni mogiła nie zgłuszy, grać ją na wszystkich dźwięcznych strunach duszy!"

W przeszłość lubi czasem zwracać się poeta, ale nie maluje wielkich scen dziejowych, jeno małe rodzajowe obrazki z życia mieszczańskiego (Obrazy i zarysy) opromienione rzewnym jakimś humorem. W otoczeniu charakterystycznych murów *Starego miasta*, w owiewającej je atmosferze wspomnień dawnych powstały zapewne te urywki. (Kamienica pod „Okrętem.")

Słusznie zauważył ktoś, że Gomulicki jest pierwszym, który odczuł, i w formę słów ubrał poezyą wielkomiejskiego ruchu, zmieszanych gwarów ulicznych, nastrój o gorączkowem natężeniu, odurzający, pełen niezdrowych podniet. „O miasto, masz ty upojenia, — których nie dają wiejskie wczasy — gdy się ulica rozpłomienia — i wśród namiętnych rozmów wrzenia — szumią koronki i atłasy." Poeta słyszy wtedy „jak huczą zmysłów burze" jak dookoła wytwarza się atmosfera namiętna gorąca, duszna, złożona z woni cieplarnianych i wyziewów zepsucia.

Ale ten dziwny wielkomiejski czar uświadomia sobie tylko przybysz z dalekich pól i lasów, on tylko ocenia różnicę między powietrzem czystem a atmosferą uliczną. Mieszczuch oswojony z narkotykiem, nie przypuszcza by inne jakieś tchnienia mogła wciągać pierś. A zresztą „pochłonięty wirem powszednich spraw" nie umie on ani wpatrywać się w siebie, ani wnikać duszą w otaczające go zjawiska. Nad miastem huczą burze, przelatują chmury piorunowe „a mieszczuch tego nie słyszy." Wiosna się budzi, zielenieją drzewa, pieśni ptaków mieszają się z płaczem nędzarzy, a mieszczuch tego nie słyszy." „W wirze powszednich spraw — upływa miejskie życie — i zgiełk ulicznych wrzaw — serc nawet tłumi bicie. — Brzmi wśród krzyżowych dróg — jęk kalek, pacierz mniszy — przemawia świat i Bóg — a mieszczuch tego nie słyszy." Inaczej ten, któremu matką była wioska cicha. On w tłumie ulicznym czuje się bardziej osamotnionym niż gdziekolwiek. „Gdy chcesz samotnym być — snuć wolno pasmo dum — nie w las, nie w pole idź — lecz między tłum. — Fijołków oczy z mchu — podpatrzą ciebie tam — tu wsiąkniesz kroplą dżdżu — i jesteś sam."

Jednym z najwdzięczniejszych w całej książce ustępów jest wspomnienie rodzinnych stron poety. Tu już uczucie, nie myśl bierze górę. „Nad błękitną moją Narwią — najpiękniej się łąki barwią." Niezatartem w pamięci poety wszystko, co z tamtej okolicy pochodzi: „Twoją postać nieuczoną — i twą mowę nie pieszczoną — zapamiętam do mogiły — nadnarwiański kmieciu miły!... Nad brzegami mojej rzeki — są na smutek dzielne leki." Unoszą się tam nad łąkami rzeźwiące wonie, wieją wichry uzdrawiające. Gdyby poeta wrócił w tamte strony, „dawna wiara, dawna siła — znówby może pierś wzmocniła. — Lecz z tym wiatrem pod obłoki— wpierw by wybiegł jęk głęboki. — Lecz by pierwej na tę trawę—łzy musiały upaść krwawe."—

Jest tu Lenartowiczowska niemal prostota i serdeczność. Przypominają się te dźwięki kochane, które tylko niezapomniany lirnik mazowiecki umiał wydobywać z pod serca.

Na tem kończymy sprawozdanie, przekonani, że przytoczone tu wyjątki niejednego z czytelników zachęcą do bliższego poznania „Nowych pieśni."

H. C.

Z upodobań angielskiego high-lifu.

Uczucia altruistyczne człowieka normalnego a czułostkowość umysłów pozbawionych równowagi, rozkapryszonych w części, albo spaczonych doszczętnie, to dwa światy, między którymi niema wspólności najmniejszej. Co się tyczy ich cech, to są one tak wybitnie odrębne, iż tylko zupełne niedoświadczenie życiowe, albo sąd chorobliwy mylić się może w rozróżnieniu pierwszych od drugiej.

Uczucie prawdziwe nie pozwala człowiekowi na spełnienie aktu przeciwnego miłosierdziu. Czułostkowość nie wyklucza nawet srogości i okrucieństwa.

Była epoka, w której ludzie mieli ciągle na ustach wyrazy: czułość, przyroda, sielanka, prostota, pasterstwo i wiele innych pokrewnych, a przecież ta epoka zasłynąć miała niebawem walkami bratobójczemi, w których uczucia humanitarne doszczętnie niemal wygasły w piersi człowieka.

Przekazała nam sztuka i literatura obrazy, w których powracający z posiedzenia konwencyonista francuzki po podpisaniu dekretu summarycznych pożóg lub topieli, bierze z rąk żony na kolana niemowlę, i z pewnymi pozorami dobrej wiary deklamuje w otoczeniu swojem na temat braterstwa i miłości wzajemnej.

Takiej dwoistości nie ma w sercu ludzkiem i zawsze faryzejską jest czułostkowość człowieka srogiego. Wszak opowiada nam historya o wodzu, który zarządziwszy rzeź miasta, patrzył na morderstwa i zgliszcza z melancholią stoika, bawił się sentencyami, a wieczorem oglądając pole taniego tryumfu spotkał indyka, któremu jakaś zabłąkana kula żołnierza strzaskała nogę. Rozrzewniło go to w wysokim stopniu. Ten ptak biedny — ofiara prawdziwa nienawistnych walk ludzkich zasłużył zdaniem jego na starania całkiem wyjątkowe, kazał go też najtroskliwiej opatrzeć własnemu lekarzowi i z pewnością zasnął tego dnia pod błogiem uczuciem uczciwie spełnionego uczynku miłosierdzia i dziejowego posłannictwa, którem go obarczono.

Stwierdza doświadczenie ten fakt niezbity, że ludzie twardego serca, nieużyci, bezlitośni nawet, chętnie pielęgnują i pieszczą zwierzątka domowe, że się z tem produkują ostentacyjnie, jak gdyby w ten sposób brak chrześciańskiej miłości bliźniego usprawiedliwić zamierzali, i dlatego dzisiaj już nikt nie wierzy w ludzkie uczucia kobiety słaniającej się w asystencyi pieska, bo niestety zbyt wiele niedoli dziecięcej i opuszczonej starości dopomina się za dni naszych o wyciągnięcie ręki pomocnej.

Wogóle nie liczą się do sympatycznych postacie nawet wybitne, ukazujące się w nieodstępnem towarzystwie psim. Czy to będzie Fryderyk II gi, otoczony zawsze swojemi ulubionemi lewretkami, czy współczesny nam kanclerz żelazny, nieodłączny od swojego reichshunda, czy głośna niegdyś z psich zamiłowań swoich Anna wirtemberska — wszystko to będą typy jednej galeryi, bardzo, bardzo dalekie od uczuć ogólnie ludzkich. Ta ostatnia pani, którą wymieniliśmy tutaj, była niewyczerpanej dobroci i miłości, ale wyłącznie tylko dla swoich piesków faworytów.

Chodowała je, pieściła, grzebała w trumnach metalowych, a tak się surową okazywała dla wszystkich, którzy odważyli się na krytykę tych ekscentryczności, że pokojowej, która się podobnej nierozwagi dopuściła, zaadministrowała nakłócia szpilkami na ciele, a na te własnoręcznie lała lak roztopiony.

Po wszystkie czasy między pewnego rodzaju plebsem ludzkim ubogim duchowo, a jednocześnie zasobnym w dobra tego świata, na tle bezcelowego i próżniaczego żywota wyradzały się i wyradzają zamiłowania tej natury, które bynajmniej nie są tak niewinne, jak się to niektórym utrzymywać podoba. Nonsensów, dziwactw, kaprysów tych bankrutów płci obojga roztrząsać tu szczegółowo nie będziemy, ograniczając się wszakże do otwartego wypowiedzenia, iż większość zdrowa, biorąca na seryo życie i jego obowiązki, na tego rodzaju nicowanie zasady patrzy się z lekceważeniem a nawet pogardą.

Jakoż odwrócić się od tych, którzy walczą i pracują, a przelać uczucie miłosierdzia na zwierzę; z obojętnością wynaturzonych przypatrywać się uciskowi słabszego, łzom starca, krzywdom sieroty, a jednoczyć się w stowarzyszenia antivivisekcyonistek na przykład, jak gdyby nauka z jakiejś karygodnej srogości a nie dla ulżenia cierpiącym, uciekać się musiała do tej ostateczności — wszystko to są wybryki umysłów płytkich, serc wystudzonych — wszystko to nie dowodzi uczucia, ale najwymowniej stwierdza tę jego zupełną antytezę, którą mianem czułostkowości określiliśmy!

Nie od dzisiaj utrapia ludzkość ten pasożyt. Epoki przeszłe dają nam aż nadto niestety przykładów podobnego zponiewierania nauki Chrystusowej, a choćbyśmy jedną z nich tylko wzięli jako przykład, a mianowicie epokę Ludwików we Francyi, myślimy, że przykład byłby aż nadto wystarczającym. Wszakci to wśród ówczesnej sfery uprzywilejowanej poeci-dworacy pisali panegiryki rymowane na cześć psich ulubieńców, które stanowiły własność królewskich lub wielkopańskich faworyt.

Piesek nie schodził z rąk ówczesnych piękności, a te przecież do chwały płci swojej w niczem się chyba nie przyczyniły.

Jeden ze znanych ówczesnych rymotwórców, bo poetami tych biedaków właściwie nazywać się nie powinno — jeden z takich, mianowicie Scarron dedykował swoją powieść humorystyczną niejakiej Guillemetce, suczce ulubionej swojej siostry. Dało mu to nawet sposobność do popisania się ze swojego rodzaju dowcipem później, gdy się z tą siostrą pogniewał na dobre. W drugiem bowiem wydaniu pomiędzy omyłkami dru-

ku zamieścił na pierwszem miejscu: *zamiast* chienne de ma soeur, *czytaj:* ma chienne de soeur.

Tak to było za Ludwików, ale od tej epoki, która się dzisiejszym Francuzom nawet bynajmniej już wielką nie wydaje, od tej epoki upłynęło zgórą półtora stulecia, wylały się potoki krwi za prawa człowieka, a więc zdawałoby się, że od podobnych kalectw moralnych ludzkość powinnaby nareszcie być zapezpieczoną.

Czy jest zabezpieczoną faktycznie? Czy to skończone — przebrzmiałe — minione?

Niestety! Chyba nie można tego twierdzić, bo właśnie pod koniec naszego wieku odżywa to wszystko na nowo, jak gdyby się ludzie dzisiejsi zawzięli na pozostawienie w historyi dowodu, iż na punkcie przeżycia zdołali dorównać wszystkim przeżyłym społecznościom starożytności i nowych czasów.

Z niechęcią zaznaczyć nam wypada, że świat, przeciwko któremu cisną nam się w tej chwili na usta słowa szczerego oburzenia, to świat kobiecy niestety.

Nie o naszą kobietę tutaj idzie — nie o tę nawet, o którą w rodzinie ludów europejskich, chodzi nam najbardziej, a mianowicie o kobietę warstw średnich, ale bądź-co-bądź kobieta w tej sprawie grzesznikiem, a wszelkiej solidarności wyprzeć się między sobą społeczność niewieścia nie może.

Mówimy tu o Anglii, gdzie jak zapewniają pisma, pod koniec naszego stulecia objawia się między kobietami w całej pełni tego rodzaju chorobliwy zwrot uczuć ku zwierzęciu.

Podlegają temu zboczeniu przeważnie kobiety warstw uprzywilejowanych, a tuzinkowa psychologia doszukuje się źródła tego objawu znowu w despotyzmie mężczyzny. Gdy ten ostatni nie przestaje odgrywać roli pana wszechwładnego, musi pokrzywdzona zwrócić się z uczuciem swojem do stworzenia, które zdradza wszystkie skłonności bezinteresownego sługi i przyjaciela. Odgadują zapewne czytelniczki, że tym razem o psie mówią ci psychologowie krotochwilni.

Ekscentryczność ta szukała i szuka sobie zawsze jako gruntu sfery próżniaczej, a że Anglia jako kraina lordów jest ziemią klasyczną dla wszelkich tego rodzaju nasion, więc nie dziw, że i to nasienie zakiełkowało tam rychlej, i wprędce wydało owoc obfity.

Tłumnie stowarzyszają się w imię tego sportu kobiety angielskiego high-lifu, zakładają kluby z których tak zw. Ladies Kermel-Association urządziło na Kensington w Holland Parku psią wystawę tak wspaniałą, że odpowiednie warstwy europejskiego kontynentu zarumienić się powinny z upokorzenia. Nagrody dla pięknych hodowczyń tego zwierzęcia-przyjaciela wyniosły w gotowiznie i walorach z górą sto tysięcy franków, a że promotorkami wystawy były w pierwszym rzędzie księżniczki krwi, a za niemi wszystko, co szczęśliwa Anglia posiada między kobietami najświetniejszego, więc nie dziw, że zaroił się gmach wystawy od dogów wogóle, a fox-terrierów, colleyów i innych tym podobnych okazów w szczególności. Miluchne te stworzonka były nawet dla brzydkiej połowy uprzywilejowanego towarzystwa o tyle bardziej pociągającemi, że wszystkie sztuki eksponowane, są od maleńkiego karmione, myte, czesane, fryzowane i perfumowane rączkami najpiękniejszych heritierek trójjedynego królestwa.

Niechajże sobie kto chce przypomina z tej okazyi o mrących na Londyńskim Strandzie głodową śmiercią nędzarzach, niechaj kołacze do uczucia litości i przywołuje do wstydu tych, którzy się na litość i wstyd zdobyć nie mogą, a którzy gotowi zawsze rzucać setkami tysięcy na kaprys wystawiający im w dodatku smutne świadectwo wyjątkowej nędzy duchowej.

Pokazuje się, że nie ma przesady w słowach, które W. Hugo kładzie w usta swojemu Gwynplainowi, gdy ten przez szczególną igraszkę losu staje przed Izbą lordów.

— Mylordowie — woła ten wczorajszy jeszcze hecarz cyrkowy, — przychodzę wam zwiastować rzecz nową: Istnieje ród ludzki na świecie! Doprawdy, że i żonom a córkom tych potężnych nie zawadziłoby dzisiaj przypomnieć o istnieniu owego niezmiernego maluczkich rojowiska, o którem mówi wielki poeta i myśliciel francuzki.

Głosy protestu słabe dotąd bardzo jednakże.

α.

St. Ariel.

UŁUDY

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Ciąg dalszy).

Potem wszystko się przerwało, albowiem Marya duszą całą oddana choremu ojcu, o sobie zapominała. Zresztą stosunki z narzeczonym same przez się ograniczyły się do zamiany słów paru. Dopiero gdy z nastaniem lepszych dni widziała go na dłużej, gdy postrzegła, że radości jej nie dzieli, a jakoby pomieszany rzuca słowa prawie bezprzytomne — wówczas zgłuszona jej trwoga z całą siłą wybiła się na wierzch, a baczność rozciągnęła nad wszystkiem.

Wkrótce tedy wiedziała, że Oroński zdobywa się na olbrzymią energią i pracę, jak człowiek, który moralnem zadowoleniem chce wynagrodzić moralną krzywdę; że szczegółowość we wszelkich interesach i sprawozdaniach rachunkowych tak zdwoił jak znów ktoś, co daleko sięga myślą i chce uczciwość swą dostatecznie zabezpieczyć szeregiem niezbitych dowodów, by sama bronić się mogła, gdy nikt jej słowem i czynem bronić więcej nie będzie.

Równocześnie z tem panna Marya zauważyła, że Janusz unika jej towarzystwa, lub chwilami goręcej niż poprzednio okazuje cześć, żal, przyjaźń, to jest wszystko to, czem chciałoby się pokryć i złagodzić brak miłości, lecz co zastąpić jej nie zdoła, i tylko brak ten czyni tem wyraźniejszym. „Więc stało się!" — pomyślała wówczas z odwagą serc, które mają siłę same usuwać złudzenia. Jednak to ludzkie jej serce zdjął ból okropny, że niemal zamierało w żalu.

Nagle wszakże ocknęło się ono pragnieniem ofiary. Ów szał miłości, który zabrał jej narzeczonego, Marya uważała poprostu za coś, co padło jak ślepota, jak nieszczęście, jak choroba. Powzięła więc dla Janusza ogrom współczucia: albowiem mimo wszystkiego niezmiennie ufając jego charakterowi i dobroci, niemal przeczuwała jego udręczenia. Rozumiała poprostu, że cierpi tu nawet przez mękę ambicyą, nietylko tkliwość serca i uczciwość. Przytem tak odgadywała jego dla siebie współczucie, że widząc w tem poszanowanie przeszłości, zagrzewała się do czynu, i postanowiła sama stworzyć przyszłość, choć tak odmienną od wymarzonej. To jest: nie wiedząc, że zamierzał rozpleść krępujące go więzy, postanowiła dać mu tę ukochaną zrzeczeniem się własnem. Sam akt był zaś dla niej tylko kwestyą czasu.

Gdy Oroński po ostatniej rozmowie z Adą przyszedł istotnie w celu ostatecznego zakończenia sprawy, panna Marya przez pobudzoną czujność wnet postrzegła na jego zmienionej twarzy ślady ciężkich przejść i bezsennej nocy. Poczęła więc śledzić go z natężoną troskliwością.

On zaś mimowoli częściej zwracał na nią oczy, poprostu z owem męczącem duszę pytaniem: „I jak ci tu powiedzieć, jak?" A tyle było ztąd smutku i tkliwości w jego wzroku i tyle zarazem odbijało się w nim własnego udręczenia, że Marya tem pilniej patrzyła.

Zwolna też poczęli wzajem przenikać swe dusze. I te spojrzenia ich, które już od kilku tygodni zaprzestały się spotykać, teraz nawiązując dawną między sobą mowę, poczęły nawiązywać całkiem nową dla serc spójnię: wzajem odczuwanych cierpień.

Wtem wśród tych chwil przygotowawczych, które bezświadomie nastrajały ich wyczekująco, podczas ogólnej rozmowy pan Roger pierwszy raz od paru miesięcy zapytał Janusza o stan interesów, a następnie, w nader serdecznych i pełnych zaufania wyrazach, począł dziękować mu za trudy podejmowane i przepraszać za to, że znów cały ciężar zajęć i odpowiedzialności pozostawi na jego głowie.

Że zaś pan Roger oprócz całej obrotności przemysłowca, miał w piersi serce niemniej od córki szlachetne, i we wszystkich sprawach zawsze na równej szali zwykł był ważyć względy moralne i materyalne, przeto zwrot ów, a zwłaszcza wdzięczność, jaką w swych słowach zaznaczył, uderzyły w Orońskiego jak pocisk okropnej ironii, jak coś, co rumieniec wstydu wywołało na jego twarz i czoło.

Pomieszany, byłby chciał pochylić się, i z całą skruchą i pokorą wyznać wszystko temu człowiekowi, który postępowaniem swem zawsze mógł służyć za wzór uczciwości, a jemu osobiście nieraz dawał wytrawne i ojcowskie rady, którego też sąd, w tej chwili jeno wprawdzie we własnem sumieniu wypowiedziany nad sobą, Oroński już zawczasu czuł i słyszał. Lecz jeden rzut oczu na białą głowę tego za rychło nieszczęściem znękanego starca, powrócił mu pomiarkowanie i świadomość nieubłaganej konieczności milczenia.

Nie poruszył się zatem i nie odezwał. Ale w tym ucisku i udręczeniu, bezwiednie przeniósł wzrok z ojca na córkę, w spojrzeniu zaś tem widniało oprócz walki, rozpaczliwe choć ufne odwołanie się do niej o radę i pomoc.

Panna Marya doświadczyła ostrego pchnięcia w serce—ale i naprzód.

Tydzień brakowało do jej wyjazdu z ojcem i prawdziwie zamierzała dopiero w przeddzień tego terminu mówić z Orońskim. Teraz wszakże zawstydziła się samolubstwa i słabości, przez które przedłużała tak jego męczarnie. Miałaż go zawieść?

Po chwili nieznacznie ku niemu skinęła.

I ona, ta cicha, delikatna istota, której cały urok polegał na szlachetnej powściągliwości, prowadziła go teraz do sąsiedniego pokoju.

Orońskí taki był wyczerpany bezustannemi wstrząśnieniami, tak potrzebował wytchnienia i tak lgnął do ciszy, że poczęści już ukołysany poprzednią mową jej dobrych oczu — idąc za tą drobną postacią w czarnej, gładkiej sukni, i patrząc jak mknęła niemal bez ruchu i szmeru, pomyślał jeno ile istotnie wiało z niej spokoju I przy całej świadomości, że owa nader dla niego trudna godzina uderza, odrazu czerpał ukojenie i ulgę w widoku tej wątłej kobiety, jak gdyby zawczasu czując, że ona zdejmie ciężar z jego serca. Zgoła nie zastanawiał się, co jej powie, i nic nie układał.

Tak znaleźli się w obszernym, poważnym gabinecie, w stylu gotyckim.

Tam Marya zlekka przymknęła drzwi i w bok posunęła się ku małemu stoliczkowi. Nie siadając zwróciła twarz z oczyma spuszczonemi i drżącemi usty.

Milczała jednak chwilę, czy szukając jak najoględniejszych słów, czy też w chęci, by silne wzruszenie poskromić.

Wreszcie podniosła ku niemu wzrok z nagłem postanowieniem w rysach.

— Wszystko wiem — zaczęła zcicha. — Sądzę, że będzie panu lżej...

I z palca zsunąwszy zaręczynowy pierścionek, położyła go na stoliczku.

— Tak być powinno.

Oroński szybkim, mimowolnym ruchem również pierścionek zdjął i obok złożył.

Marya drgnęła. Snadź pękła w jej sercu ostatnia struna złudzeń i nadziei, które jeszcze taiły się w głębi.

On tymczasem oprzytomniał, pochylał się i rękę jej z pokorą podnosił do ust.

— Moja wina jest tak wielka, tak niedarowana — mówił z przejęciem, ogromnie pomieszany, — że usprawiedliwienie dzisiejszego kroku znajduję tylko w tem, że nie mógłbym już dać szczęścia i nie byłbym godzien pani. A uważałbym się za ostatniego nędznika, gdybym oszukiwał i w błąd wprowadzał tak wielkie i szlachetne serce.

Tu nikły płomień przeszedł po jej bladej twarzy.

— O!... niech pan nie mówi nic—zcicha przerwała, — i będzie szczęśliwym.

Janusz, poprzednio wyobrażając sobie tę chwilę, mniemał, że wypowie bardzo wiele dla załagodzenia jej bólu i wyrażenia własnych dla niej uczuć. Teraz całkiem słów nie znajdował, nawet tych, któremi chciał się usprawiedliwiać przed jej ojcem.

Rzekł tylko:

— Ale pani wierzysz, żem prawdą kierował się zawsze?

— Nigdy nie wątpiłam, i nie zwątpię—odparła Marya.

Poczem wyciągnęła do niego rękę, którą on raz drugi pocałował.

I już usuwała się, odchodziła.

O dwa kroki wszakże zatrzymała się, jakby nagle coś miarkując. Oczy na niego podniosła.

— Ach, tak — zaczęła z pewnem zakłopotaniem — ale proszę pana, by ojciec mój przez dni kilka jeszcze nie wiedział nic, dopóki nie wyjedzie.

— Pani! tylko wzgląd na niego milczeć mi pozwalał, wprost nakazywał, mimo całego poczucia nieuczciwości podobnego milczenia.

Marya skłoniła głową.

— Rozumiałam to, i dziękuję.

Po chwili zaś dodała:

— A chciałam jeszcze prosić, aby pan pozostał na swem stanowisku czas jakiś, też ze względu na ojca.

I tu już głos jej brzmiał tak miękko i nieśmiało, jak gdyby ona była winowajcą, a posuwała się do zuchwałych wymagań.

— Czyż nie żądam za wiele? — pytała też spoglądając niespokojnie.—Może jednak nie będzie to panu bardzo przeciwnem, skoro wyjeżdżamy?

Oroński patrzył na nią i na jej pomieszanie z jakiemś oczekiwaniem, jak gdyby chciał, by żądała więcej, więcej.

Gdy umilkła powiedział żywo ze szczerem odcieniem:

— Wszystko jestem gotów uczynić, wszystko, co tylko będę mógł.

Nieraz bowiem powtarzał sobie: „niechajże będę względem nich przynajmniej uczciwym, gdy niewdzięcznym być muszę.” A teraz pomyślał, że nawet i dość uczciwym tutaj być niełatwo.

Marya odetchnęła i skinęła głową. Twarz miała zarumienioną snadź z wysiłku. Chciała też ujść co prędzej.

Lecz gdy wzrok podniosła ku niemu, zawahała się i raz jeszcze wysunęła rękę, jakby upewniając, że wszystko przebacza, lub żegnając go na zawsze.

Tu wszakże rysy jej drgnęły nagle, z oczu trysnęły łzy.

Ale nim on zdołał je spostrzedz, już spiesznie ku drzwiom zawróciła.

Oroński zaś patrząc za nią myślał: „czym ja doprawdy nie za mało umiał cię czcić i cenić?”

Rozumiał wszakże, iż mu nic nie wolno okazać, nic powiedzieć, choćby i umiał już na to się zdobyć, a nie wolno nie jako *nie narzeczonemu*, lecz jako człowiekowi, który ją w każdym razie krzywdził.

A jednak przejmowało go coś takiego, że byłby wyciągał do niej ręce, nietylko z wdzięcznością, za dobro, jakiego doświadczył, ale niejako w trwodze przed złem przeczuwanem — niejako do ucieczki swej i ukojenia.

Gdy wszakże zniknęła za drzwiami i pozostał sam, przedewszystkiem poznawał, że jest mu lżej i znacznie lżej — choć niezupełnie lekko, czuł się bowiem mniejszym moralnie i zawstydzonym.

XVI.

Gdy Ada po parotygodniowem uwięzieniu w domu z powodu chorej nogi, napowrót zaczęła bywać w świecie i zanurzyła się w dawnej atmosferze wiru, natychmiast pożałowała przyrzeczenia danego Januszowi.

— Ach, co ja zrobiłam! Co zrobiłam! — powtarzała, pomijając wprawdzie główny punkt zobowiązania, a zrozpaczona wprost musem wyjazdu z Warszawy.

Rozumiała bowiem, że stosunek z Orońskim naprężony do ostateczności, nie mógł nadal utrzymać się w tych warunkach, miasto zaś coraz nowe pokusy przedstawiało.

Karnawał świetnie się zaczynał, a teatr amatorski prócz balów, a wyścigi w maneżu, a ślub Niuty z wiosną... Byłaby chciała uzyskać kilka tygodni zwłoki, choć miesiąc, choć pół.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Wskazówki i rady.

Czyszczenie obuwia skórzanego żółtego.

Obuwie ze skóry koloru żółtego bardzo pożyteczne w lecie ze względu na kurz, czyści się następującym sposobem. Umoczyć lniany czysty gałganek w soku cytrynowym i wycierać trzewiki dopóty, dopóki wilgoć zupełnie nie ścieknie, następnie wytrzeć suchym gałgankiem a trzewiki będą jak nowe.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

Дозволено Цензурою. Варшава 9 Іюля 1896 г. Warszawa, Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**